

SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. Z. Czernański

Zmodyfikowany hymn pruski.



*Lieb Vaterland magst ruhig sein
Es liegt die Wacht, die Wacht am Rhein.*



JAWORZYNA.

Hej Jaworzyno ty nasza nie nasza,
Czem wobec ciebie czar Alp i Apenin?
Gdy nie odzyskał ciebie błysk pałasza,
Pewnie podzielisz los królewskich Pienin,
Które Pepiczek z chciwością zuchwałą
Przeciął na dwoje, niby żywe ciało.

Pytaj górali Spiża i Orawy
Ile tytoniu pchał Czech i gorzały,
Aby pozyskać głosy dla swej sprawy,
Więc nawet góry serdecznie płakały,
Gdy im szubrawce rozkazały pieskie,
Że odtąd będą nie polskie lecz czeskie.

O Jaworzyno! ty ziemio bezpańska,
Którą odetnie nam wnet czeska piła!
Jedna brygada nasza podhalańska
Dawno by ciebie Polsce przywróciła,
A Czech, co nos swój w nasze góry wściubił,
W drodze do Szmeksu portki by pogubił.

Inaczej całkiem robią z Jaworzyną.
Tu nam przeróżne nasłano komisje;
Przystało znawców Peru z Kochinchiną,
Dwa lata trwały przetargi i scysje,
Wreszcie, gdy sprawa zdała się wygraną,
Znow ją do świetnej Ligi odesłano.

Wiemy już dobrze, że ta cała Liga
Jest tylko nowym dla Czechów wykrętem.
Polska co losy Europy dźwiga,
W pięknej Genewie jest zawsze petentem
I musi wszystkim kłaniać się do koła,
Gdy „stuling mording“ Anglik jej zawoła.

Zakopane, w lipcu 1923.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.



Żniwa.

Dzierżawca przeogromnych włości, Imci Pan Wincenty stanął w towarzystwie swej czeladzi na ganeczku starego dworku polskiego i przesłoniwszy oczy ręką patrzył w przedziwnie ponury zachód słońca zdającego się zanurzać w purpurowej posoce krwi.

Z dalekich pól szedł pogwar paskującego ludu, brzęk sierpów i kos, echo piosenek z repertuaru francuskich kabaretów i krzyk ludzi obdzieranych żywcem ze skóry.

— Żniwa będą tego roku nad podziw dorodne! — mruknęła Jejmość Endecja.

— Oby tylko burza nie popsowała nam wszystkiego, bo ziąb ciągnie okrutny od tych czarnych chmurysków! — rzekł Imci Pan Wincenty, otulając się w czamare rumuńskiego kroju.

— Będzie jak Bóg i pan Poincare dadzą! — zawyrokowała stara klucznica Chadecja, patrząc z niepokojem na pełzające po niebie skłębione macki atramentowych chmur. — Widzi mi się, że burzy ino co nie widać...

— Cichajta!... Żeńcy już wracają z pola na odwieczersz. Tym co pokonczyli żniwa trza będzie wyprawić galantne dożynki... Słyszycie granie i śpiewanie? Już idą ku nam... Wiedzita?... Oł, zda się, że wychodzą z za tej rudej chmury na wschodzie...

— Nie mówcie Jegomość o chmurach na wschodzie; tu nie Tarnów! — warknęła Jejmość Endecja.

— A Jejmość niech się nie wtrąca do moich jenteresów! Wara!...

Jejmość Endecja popatrzyła znacząco na Chadecję, mówiąc spojrzeniem:

— Oto są przyjemności wysługiwania się koniokradowi!

— Oł, dola! — westchnęła Chadecja, ocierając zasmarkany nosk swemu synalkowi Enpeerowi.

Z oddali poczęły zbliżać się gromady żeńców ze śpiewaniem i graniem, niosąc wieńce uplecione z zżętego zboża, aby je złożyć na ganku u stóp dzierżawcy w rumuńskiej czamarze...

— Plon niesiem, plon!...

— Witajcie! — zawołał Imci Pan Wincenty, schodząc po stopniach ganeczku na przywitanie miłych żniwiarzy. — Witam acana, panie Seyda!

— Muzyka, rznąć od ucha! — zawołał radośnie Seyda, obejmując za kolana Imci Pana Wincentego i Jejmość Endecję.

— Nad podziw prędko spisaliście się ze żniwami, miły przodowniku! Dziękuję wam.

— Robiło się, co mogło! — odparł płonąc z ukontentowania pan Seyda. Gromada żniwiarzy przyprowadzonych przez Seydę podreptuje w tańcu w takt muzyki złożonej z samych cymbałów. Ogromne, wodniste łby żniwiarzy kołyszą się i chybotają na rachitycznych, koźlich szyjach, wstrząsanych podrygami nóg skręconych angielską chorobą.

— Dzielnych dohraliście sobie robotników! — mówi z uznaniem Imci Pan Wincenty.

— I muzyka także własna! — woła z zapalem pan Seyda. — Chłop w chłop a same cymbały! Praca szła w mig! Łan gdański dorzneliśmy do cna! Da Bóg, że i Jaworzynę także lada dzień skończymy. Z pól Estonji, Łotwy i Finlandji zwożę dla nas cały plon Trocki i Radek. Zwózka darmo,

a furmani pewni... Ze zbioru rumuńskiego mamy zapewnione wszystkie kaczany kukurudziane — sowiecki łan lada dzień wyda obfite żniwo — z łąk nad Sekwaną zbierzemy wkrótce to co posialiśmy na spółkę, a inni sąsiedzi dołożą nam, gdy nam czego zabraknie... Jednem słowem: Żniwa nie zawiodły!...

— Cieszymy się w Panu! — westchnęła nabożnie Jejmość Endecja.

— Muzyka, rznąć od ucha dyplomatyczną polkę polską! A żywo!

*

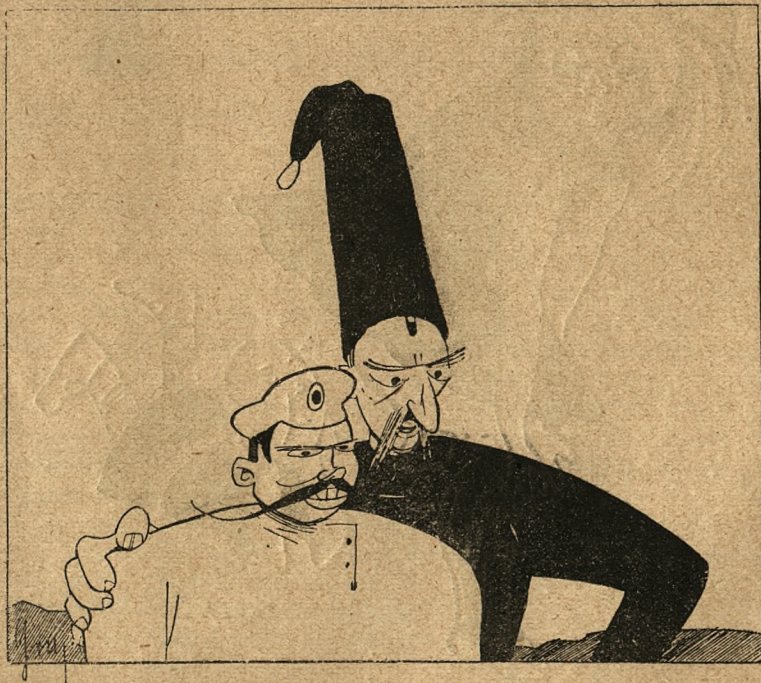
Ze wszystkich stron ściągają dalsze gromady żniwiarzy wesoło porykując i płasząc po drodze.

Imci Pan Wincenty wita wszystkich otwartymi ramionami, wypytując jak troskliwy ojciec o postępy w pracy.

Na czele ogromnej czeredy żniwiarzy poprzebieranych w jednolite granatowe mundury i srebrne palmy męczeńskie na kołnierzach, staje pan Kiernik przed kolumnadą ganka.

Mocno jest spracowany i jego żniwiarze również, więc zdaje gospodarzowi raport krótkimi, urywanymi słowy:

— Żniwa na ogół dobre, chociaż nie wszędzie... W Łodzi i Częstochowie zakwitły na łąkach czerwone



maki niby krew purpurowana sącząca się z piersi... Żniwiarze urobili sobie ręce po łokcie. Maki z pod Łodzi i Częstochowy ubarwiły żniwiarzom ręce na kolor krwi. Żniwa w powiecie bielskim również obfite.... Najlepiej zarodziły pola drożyniane. Ziarno drożyny rzucone w dobrze uprawioną glebę wydało stokrotny plon... Niewiadomo tylko kto to wszystko zwiezie... Niektóre pola gdzie zarodziła drożyna mają tak wysokie kłosa, że stały się schroniskiem dla bandytów, rzezimieszków, dyrektorów banków, kupców i innych grasantów... Najobfitsze żniwa wydały pola na kresach, gdzie do pracy ściągnięto wojsko i straż celną. Nadchodzącej zimie możemy spokojnie patrzeć w oczy...

— Prawda mam, że zima niema oczu? — zapytał Chadecję jej obiecujący synalek, wabiący się Enpeerem.

— Cicho smarkaczu!...

— Możemy sobie nawet pozwolić na wywóz — ciągnął dalej utrudzony Kiernik — żniwa są tego rodzaju, że nie zaszkodzi nam wywóz nawet kilkuset wagonów świń...

— A toś mi brat! — zawołał uradowany Imci Pan Wincenty, biorąc Kiernika w ramiona. — A żem stary, więc przyjm moje błogosławieństwo...

*

Jak pilne pszczoły zlatujące do ula, tak żniwiarze zbiegają się przed stopnie dworku polskiego.

Spocony i zziąany, lecz z wyrazem nieklamanego zadowolenia na twarzy zjawia się i Hubert Linde z żeńcami.

Daje znak ręką własnej orkiestrze i z uśmiechem na dystygowanej twarzy kłania się swemu dobrodziejowi.

— Witajta nam miły szafarzu! — woła Imci Pan Wincenty — Z góry wiem, że takim żniwiarzom jak wy robota pali się w ręku... Jakże tam z łaanami waluty?...

— Ino ściernisko zostało! — woła uradowany Linde. — Czego Grabski niedokosił, ja w mig dokończyłem. Waluta leży pokotem! Część zwożą nam Niemcy, a resztę zwożą furmani z Zurychu... Na łaanach gdzie zasialiśmy złoty polski, był urodzaj znakomity. Zarobiliśmy tysiąc procent. Dewizy zarodziły przewybornie na nawozie marki polskiej, a dolar specjalnie udał się nam tego roku jak nigdy.

— A jakże z oziminą markową? — zapytał gospodarz.

— Bajecznie się zapowiada! Do orki ściągnąłem inteligencję urzędniczą, na którą włożyłem obowiązek złożenia własnego nawozu. Eksperyment ten nie powiódł się w zupełności, gdyż wielu z nich nie miało z czego ów nawóz wyprodukować...

Zbóż podatkowych wcale nie siałem, gdyż nasi włościanie i kupcy są uprzedzeni do tego gatunku zboża, natomiast akcje udały się bardzo dobrze i poszły w górę nad podziw szybko, gdyż pole użyźniliśmy potem i krwią pracującego bydła. Na łąkach mamy ogromne zapasy siana, więc mam wrażenie, że tytoń nam się opłaci... Jeden tylko podatek majątkowy nie dopisze na drugi rok, bo zasiano ziarno drańciwe i fałszowane.

— Więc możemy z otuchą patrzeć w przyszłość? — spytał Imci Pan Wincenty poprawiając sobie krawatkę.

— W zupełności! Tembardziej, że zaangażowaliśmy nowego komisarza do walki z komisarzem oszczędnościowym w osobie pana Andrzeja Bujdy.

— Bajdy! — poprawił jeden z obecnych żniwiarzy.

— Bujda czy Bajda to obojętne! Nasza ciężka praca nie może pójść na marne i plon zwieziony musi być złożony w odpowiedzialne ręce pana Bujdy!...

— Bajdy! — poprawił jeden z obecnych.

*

Z daleka zahuczał głuchy grzmot. Niebo zakryte oponą czarnych chmur rozdarła oślepiająca, zygzakowata błyskawica.

— Oby tylko burza nie popsowała nam wszystkiego! — rzekł Imci Pan Wincenty, otulając się w czamare rumuńskiego kroju...

W. RAORT.

W warszawskim ministerstwie.

— Panie kolego, jak się mówi, casus belli czy lapsus belli?

— To zależy. Dla ententy był casus belli, a dla Niemców lapsus belli.

Kwiatki poznańskie.

Odpis.

DR. S. KOCZYŃSKI

Specjalista na choroby nerwów, mózgu i umysłowe.
Poznań — ul. Pawia 12.
Telefon 1334.

POŚWIADCZENIE LEKARSKIE.

Pan Rosenberg cierpi na osłabienie nerwowe, które wymaga przez 6 tygodni oszczędzania się np. nie może pełnić nocnej służby i może się zajmować tylko w siedzeniu przez 3 godziny dziennie. Dr. S. Koczyński.

Podstuchane.

W Poznaniu „premiera“ Mazepy. W czasie III. aktu w krzesłach parterowych toczy się półgłosem dialog między dziewczyną w jedwabnej sukni, a nobliwym młodzieńcem w lakierach.

Głos kobiety: Przepraszam pana, a która to Mazepa?

Chwila milczenia.

Głos mężczyzny: Przepraszam, ja nie wiem, ja nie tutejszy.

Po chwili półgłos kobiety: W Halce ale jest więcej opery.

Głos mężczyzny: Mazepa jest też wesola...

Głos kobiety: W Halce jest więcej tańców i muzyki...

Głos mężczyzny: W Mazepie ale jest więcej przerw niż aktów.

Szmer rozwijanych papierów zagłuszył dalszy ciąg dialogu. A szkoda! Dosłownie powtórzył Henio.



Dodatek „SZCZUTKA“

Cena ogłoszeń wynosi 1,800.000 Mp. za całą stronę. — Mniejsze ogłoszenia w stosunku do pomiaru strony.

Tempora mutantur.

Rys. J. W. Stojek.



Student z V. klasy: Psiakrew! Niedawno byłem jego dowódcą — a dziś udaje, że mnie nie widzi!...

Bulldog Grab.

Ojciec jego należał do psiarni króla Edwarda, a mister Sweep, właściciel znanej stajni wyścigowej, zaklinał się, że niema w nim ani kropli krwi niemieckiej.

Zwano go powszechnie daniem Grab. Wabił się tak wszędzie i po stajniach i w salonie. Był to wielce urodziwy bulldog. Uszy sterczące jak u osła, szczeka wdzięcznie wysmukła mocno wysunięta ku przodowi, niby dziób obrotu, sierść twarda, ale śliczna którą pani jego, mistress Anna Bell napróżno starała się układać w malownicze pukle, co noc zawiązując mu papiloty.

Rozmawialiśmy tym samym językiem, choć nie wychowałem się bynajmniej w dżungli Pendżabu. Piesek zresztą był bardzo wykształcony i rozmowny. Przy sposobności opowiedział mi historię swego życia.

— Panie, krew mam szlachetną w żyłach i — zatwardzenie, albowiem dotarłem do szczytu swej kariery. Lecz młodość miałem srogą.

— Bardzo wcześniej poddano mnie tyranii elegancji i mody. W tym celu obciął mi krawiec ogon, niestety o cal za krótko. Stałem się przez to tak śmieszny, jak nowożeńiec, gdy bierze ślub we fraku, który miał na sobie przy pierwszej komunii.

— Wystrojony w ten sposób znalazłem się oko w oko z największym wrogiem: dywanem. Był jadowicie zielony, niczem trawnik. Cóż więc dziwnego, że kolor ten zbudził we mnie gust ogrodniczy, wobec czego podlałem z całą sumiennnością nogę od stołu. Jeszcze dobrze nawet nie skończył tej czynności, gdy nagle porwano mnie za kark, zbito na kwaśne jabłko i niosąc w wyciągniętych rękach, jak kopnącą lampę, wyrzucono na dwór. Tam wezwał mnie lokaj w sposób arogancki do sikania, ile tylko sił starczy i kopnąwszy mnie nogą, obrzucił gradem pospolitychobelg.

— Naturalnie, podlawszy już dywan, nie czułem najmniejszej ochoty do podlewania podwórza.

— Po upływie godziny wzięto mnie z powrotem do salonu. A wtenczas, mój drogi panie, znów wzięła mnie chętką. Wyniesiono mnie poprostu o pięć minut za późno na dwór, a przyniesiono o pięć minut wcześniej z powrotem... Krótko mówiąc znów podlałem dywan i znów mnie obito.

— Trwało to tak bez przerwy aż do czasu mego pierwszego małżeństwa. Otrzymałem wówczas na rogu Fifth-Avenue wiadro wody — jako prezent ślubny.

— Teraz wiem już, co wiedzieć należy i bynajmniej tem się nie pysznię. Potrafię ośm dni wytrzymać bez sikania, a to przypomina mi mego biednego przyjaciela, Boba Tunnel, nadzwyczajnego jamnika, który nieraz polował w naszym ogrodzie. Była to indywidualność niezwykła, wiecznie zawieszona między rozkoszami ziemi a nieba, a nigdy nie mogąca użyć ani jednych ani drugich. Zonaty był bowiem z przepiękną wyżlicą. Czterykroć wyższa od niego, zdradzała go na każdym kroku.

— Nie mógł biedak tego przeżyć. Rozpacz jego doszła do tego stopnia, że opanowany splinem rzucił się pewnego wieczora w fale morskie i odtąd przepadł bez wieści.

— Obecnie żegluję — jak słyszałem — między Kubą a Jamajką. Czy to prawda? Nic o tem stanowczo powiedzieć nie mogę. Ale w każdym razie musi Bob płać jakieś psie figle, udając morskiego węża. Słowem ów słynny wąż morski, nie jest to nikt inny, jak mój przyjaciel jamnik, któremu życie zbrzydło.



MÓJ PRZYJACIEL STEEL.

Gdy poznałem Jeroboama Steel, nie był jeszcze tym sławnym dżokejem, jak dziś, lecz tylko tragarzem w halach spożywczych. Z tej przyczyny odwiedzał mnie często, przynosząc mi zwykle w prezencie nieco maki, gdyż wiedział o tem, że lubię sam pracować na chleb.

Jakieś babskie historie zmusiły go do porzucenia tego zawodu. Schudł wówczas do tego stopnia, że wyglądał jak prymus po czterech nagrodach pilności. Zmienił się biedak nie do poznania. Stał się tak cienki i lekki, że musiał kamieni nosić w kieszeniach, żeby go wiatr przypadkiem nie porwał. Później straciłem go z oczu.

Aż tu pewnego razu, gdy łowię sobie ryby pod mostem, zbliża się do mnie jakiś okrutnie elegancki jegomość, ubrany według ostatniej mody. Przesesy na nim jak ułaj i bajeczne sztylpy.

— Dzień dobry — powiada grzecznie — nie poznajesz mnie stara małpo?

— Ach, do kroćset!
Był to Jeroboam Steel.

Poszliśmy oczywiście do najbliższego szynku, by godnie oblać spotkanie. Opowiadał, że jest dżokejem i jeździ na wyścigach.

— Tak, mój stary, opowiadał, do-

znałem już w życiu bardzo wiele. Siedziałem na wozie i pod wozem, siedziałem na lodzie i na koszu, siedziałem na fotelu i na szpilkach, siedziałem na osle i na cenzurowanym, siedziałem na ławie przysięgłych i w kryminale — lecz nic z tego nie da się porównać z rozkoszą, jaką sprawia siedzenie na folblucie angielskim. Czujesz pod sobą siodło, przed sobą — sławę, przy sobie — pieniądze..

Zainteresowało mnie to bardzo.

— Więc powiadasz — rzekłem — że można na wyścigach zarobić?

— I jak jeszcze! Ale pod jednym warunkiem. Trzeba mieć głowę na karku, a przede wszystkim, wara znać konia lub dżokeja. Chcesz wiedzieć jak się wygrywa? Oto tak: Rano idziesz sobie, jakby nigdy nic na tor wyścigowy, stawiasz na pierwszego lepszego konia, o którym dotąd nigdy niczego nie słyszałeś, a szczęście, to głupie szczęście, które zawsze sprzyja początkującym durniom, żeby ich później tem pewniej pogrążyć, — uśmiechnie się do ciebie.

Rozstaliśmy się w najlepszej komitywie.

Nazajutrz rano pobiegłem co tchu na plac wyścigowy. Byłem pierwszy. Prócz mnie ani żywej duszy. Czekam i czekam na rozpoczęcie wyścigów i doczekać się nie mogę. Wreszcie po

czterech godzinach ujrzałem pierwszego konia. Wyciągam co żywo dolara i w mig stawiam go na nim. Nic mnie dotąd tak nie zaciekawiało, jak szanse mego wyścigowca. Rozsadzała mnie poprostu niecierpliwość.

Czekałem aż do końca wyścigów, czekałem aż do samego zmroku i niczego się nie doczekałem, ani też niczego nim wygrałem. Ale to nic a nic. A nawet przegrałem swego dolara, ponieważ koń na którego stawiałem, był koniem policjanta, pełniącego służbę objazdową.

Rezygnacja.

Hrabia Dunin stara się o rękę młodej Saugeruchówny. Matka hrabiego niechce się z początku zgodzić na ten mezaljans, ale ostatecznie ustępuje i o swej decyzji zawiadamia Saugerucha w liście tak się zaczynającym:

„Jakkolwiek nie bardzo mi to odpowiada, że mój syn wsadzi swą arystokratyczną rękę w pańską brudną kieszeń...

Potęgą biurokracji.

Naczelnik stacji: Co mi pan gadasz takie androny. Na stacji ja jestem wszystkim. Pan wie, że ja potrzebuję tylko pójść na stronę a pociąg będzie miał zaraz pół godziny spóźnienia!

„EROTYKI”

Nakładem Spółki Nakładowej „Odrodzenie” — Wszędzie do nabycia.

Korzystna oferta dla Czytelników „Szczotka”!

Przy obecnej szalejącej drożyznie jest bardzo trudnym zaopatrzyć się w eleganckie ubranie lub palto, chcąc zjednać sobie stałych odbiorców **Warszawska Spółka Manufakturowa** postanowiła wysprzedać znajdujące się na składzie resztki pozostałe od starych zapasów po cenach dawnych (**czerwcowych**). Resztki te 3 metrowe nadają się na śliczne męskie jesienne ubrania lub na pokrycie futer i bekiesz, czysto wełniane we wszystkich kolorach 4 gatunków.

Gatunek A 395.000 mkp.

B 550.000 „

Gatunek C 750.000 mkp.

„ D 950.000 „

Do każdej resztki na żądanie klienta wysyłamy komplet podszewki pod marynarkę, kamizelkę, spodnie, kieszenie i do rękawów po 210000 i 250000 za komplet.

RESZTKI NA PALTA JESIENNE I ZIMOWE.

Gatunek A mkp. 625000 na palto

„ B „ 875000 „ „

„ C „ 975000 „ „

Materiały te są grube, miękkie w ładnych, modnych kolorach, maryngo, czarne, lub brązowe na lewej stronie mają kratę zastępującą podszewkę.

Wysyłamy pocztą za pobraniem (płaci się przy odbiorze) na naszą odpowiedzialność, jeżeli towar się nie spodoba i gdyby okazało się nie o dużo tańsze od cen rynkowych przyjmujemy z powrotem i zwracamy pieniądze. Za przesyłkę i opakowanie dolicza się do każdej resztki 20.000 mkp. — **Zamówienia prosimy adresować**

Do Warszawskiej Spółki Manufakturowej, Warszawa, Jasna 18-20.

Prosimy przy zamówieniu powołać się na niniejsze ogłoszenie. Do każdej resztki dodajemy nasz cennik na wszelkie towary i jesteśmy pewni, że kto od nas otrzyma chociażby jedną resztkę zostanie naszym stałym klientem.

Przyjeżdżających do Warszawy prosimy o odwiedzenie naszego składu.

Sekretarki nie sekretarza!

W numerze 200 z dnia 24. lipca b. r. „Rzeczypospolitej” znajduje się w rubryce „Nadesłane” następujące nadzwyczaj charakterystyczne ogłoszenie:

Wielkie Tow. Akcyjne poszukuje od jesieni na stanowisko *Sekretarki*

młodej osoby o *dużych zaletach reprezentacyjnych*. Pożądana *mała* znajomość pracy biurowej. Pensja bardzo wysoka. — Oferty pod „Sekretarka” do Administracji „Rzeczypospolitej”.

Komentarze zbyteczne!! Mar.

Złośliwy figiel.

Na afiszach i programach ostatniego programu warszawskiego „Stańczyka” znajduje się u dołu następująca uwaga:

„Sala wyjątkowo chłodna”. — Ktoś złośliwy dopisał: „Publiczność też”. Mar.

Djablik drukarski.

W jednym z dzienników lwowskich wkraść się do notatki, omawiającej kąpiele siarczano-borowinowe w Lubieniu Wielkim pod Lwowem, następujący djablik drukarski: „Przepojona starka borowinowa lubieńska znana jest ze swego zbawionego działania...” Mar.

Smutna humorystyka.

Przechodzę ulicą Szpitalną. Z bramy wychodzi donna, wystrojona, wyperfumowana, o wyzywającym spojrzeniu, jednym słowem taka, dla której świat był za ciasny i dlatego przeniosła się do — półświatka.

Ledwo postąpiła parę kroków — otwiera się okno i jakiś mały berbecz woła do niej:

— Mamo, a przyprowadź takiego tatę, co nie będzie bardzo chrapał!



ALBUM POLSKIEGO SPORTU

ZDZISŁAWA CZERMAŃSKIEGO

Czterdzieści kilka karykatur najwybitniejszych sportowców polskich.

CENA ZA EGZEMPLARZ 10.000 — Mkp.

Do nabycia w Administracji „Sportu” Lwów, Podwale 3.

„GAZETA BANKOWA”

Największe w kraju czasopismo ekonomiczne

WYCHODZI DWA RAZY KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKCJA: Lwów, ul. Akademicka 4. — Telefon Nr. 581. — ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Podwale 3.

∴ PRZEDPŁATA: Kwartalnie 6 Zł. p. ∴

Prenumerata zagraniczna o 100% drożej.



„SPORT”

Urzędowy organ Polskich Związków: Lekko-atletycznego, Pływackiego, Szermierzy, Polskich Towarz. Atletycznych, Łyżwiarского, Lwowskiego Zw. Okr. Piłki Nożnej, Tow. Zabaw Ruchowych we Lwowie i Centrali Akademickich Związków Sportowych w Warszawie.

Wydawca: **Spółka Akc. Wyd.** Redaktor nacz. **prof. R. Wacek**

Cena numeru 4.000 Mp., Prenumerata kwart. 45.000 Mp.
miesięczna 16.000 Mp.

Adres Wydawnictwa: Lwów, ul. Podwale 3. Tel. 73.

Rocznik „Sportu”

zawierający 626 stron druku, 440 ilustracji, 31 karykatur,
do nabycia w Administracji „SPORTU” w cenie 25.000
Mp., z przesyłką pocztową 27.000 Mp.

Prenumerujcie „SPORT” — **jedyny sportowy tygodnik na
Kresach Wschodnich.**

GAZETA PORANNA

ILUSTROWANY DZIENNIK KRESÓW WSCHODNICH

wychodzi codziennie, dając bogaty przegląd życia intelektualnego
i politycznego kresów wschodnich.

Prenumerata miesięczna 27.000*— Mkp. — Z dostawą na miejscu lub
z przesyłką pocztową 30.000*— Mkp. — Za granicą 35.000*— Mkp.
Redakcja: Lwów, ul. Senatorska 6. — Administracja ul. Sokoła 4.
Telefon Redakcji w dzień 15., w nocy 230. — Telefon Administracji 291.



— Czy nowomianowany komisarz drożyzniary faktycznie nazywa się Bajda?...
 — Bujda łaskawa pani, zwyczajna bujda!

Wióry.

Najgroźniejsze burze życiowe wyrzucają na brzeg najcenniejsze perły.

*

Kobiety *podzielają* — nasze troski, *podwajają* radości, *potrają* wydatki.

*

Jeżeli wąż dziś nie gryzie, nie wierz mu, on zbiera w pysku truciznę.

*

Nowe miotły nie zawsze dobrze zmiatają, gdyż nie znają jeszcze wszystkich kątów.

*

— Co to znaczy przyzwyczajenie — rzekł krawiec i ukradł z własnego sukna kawałek.

*

— Ustąp mi z drogi, albo cię rozdepczę — zawołał kogut do konia.

*

Człowiek łatwiej odchodzi od siebie, aniżeli w siebie wchodzi.

*

Chętniej wskoczylibyśmy do wody, by bliźniego uratować, niż zdobylibyśmy się na odwagę zaproszenia do naszego stołu, gdy bliźni jest nędznie ubrany.

*

Ten najwięcej wygaduje na swych bliźnich, kto się bez nich obejść nie może.

*

Jeżeli ktoś mówi: „To rzecz gustu“, to chce przez to powiedzieć, że jego gust jest najlepszy.

*

Najlepsze zamiary poprawy, mamy kładąc się do łóżka; przynajmniej nie trzeba ich od razu w czyn wprowadzić.

K. Brzeski.





J'ACCUSE!!!

(W rocznicę cudu.)

Narodowy, polski film w 3 częściach. Staraniem i nakładem Komitetu uczczenia rocznicy cudu nad Wisłą. Gwoli pokrzepienia serc rodaków.

Część I-sza.

Posiedzenie Rady Obrony Państwa. Z dala huczą armaty pod Radzyminem.

Operator ks. Lutosławski: (z emfazą à la Torquemada). Więcej jadu panie Zamorski. Tak — merci. Wymyślając Piłsudskiemu (krztusi się), niech mu pan pogrozi pięścią, trochę pod oczy, o tak. To dobrze wychodzi na płótnie i robi efekt. Panowie! panowie! jeszcze zawczasie na bójkę... Towarzyszu Ignacy — należy wrażenie potęgować stopniowo, crescendo. Rany boskie! zepsują mi film! Nawet i w takiej chwili nie ma zgody... (Do gen. Hallera). Nie — Nie! upada pan krzyżem dopiero w następnej części. (Do gen. Weyganda): Monsieur le général! Uprzejmie proszę o zwrócenie uwagi tym kapuścianym głowom legjonowym. Trzymają przecież mapy do góry nogami. Te — Witos, krzyknijta teraz: „Chłopi i robotnicy! Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Do broni! Taak. Więcej gębę otwierać. Dobrze. Zaraz, zaraz panie Romanie... już jedziemy... (Patrzy okiem znawcy i popija drożdżowskie). Nno — nieźle wyjdzie. Teraz zakończenie. Entuzjazm musi być. Panowie — padnijcie sobie w objęcia (do wzdygającego się posła Głabińskiego), a niechże kolega uściska pana marszałka. Dla dobra kraju, te — chciałem rzec — filmu. Pan Bóg odpuści. Amen. Każdy na swoje miejsce. Żołnierze na front! Haller do kościoła! A my do Poznania! I niech was Matka Boska... (łapie się za język). Prawda! Zapomniałem, że to specjalność Hallera.

Część II-ga.

W przestrzeni. Między frontem a starym grodem Przemysława.

Na zamku poznańskim. Cicho i bezpiecznie. Elita. Śmietana i podśmietanie. Arystokracja. Wykwint i pudrowany syfilis. Pindy grochowe w brylantach. Dyskretne prałaty. Podpory państwa. Bóg i Ojczyzna (w kolorach).

Operator endecki: (kręci) Swoboda, swoboda proszę państwa. Głowy

wdzięcznie pochylić. Nastrój oczekiwania. Teraz trochę muzyki.

Szarak żołnierski: (z daleka, z daleka) Gdy naród do boju wystąpił [z orężem...]

Panowie w stolicy siedzieli.

Operator endecki: (kręci) Jak Pan Bóg dopuści, to i Poznańskie będzie stolicą... Nieprawdaż?

Chór: My chcemy stolicy!

Drugi chór: (z daleka, z daleka) My chcemy chleba!

Wojciech I-szy Korfanty koronuje się, poczem swą w złoto oprawną głowę oddaje Katedrze gnieźnieńskiej. Skarbiec znowu pełny. Grzmia! 8 miócalówki pod Radzyminem i grube Berty w „Dwugroszówkach“. „Zdrada!“ Na salę wpada goniec: Weygand zwyciężył! Wracać!

Operator endecki: (kręci) Panowie, wychodzić zadkiem.

Sleepingi pełne patriotycznej hołoty. Warszawa. Te Deum. Defilady. Świeci słońce sierpniowe, brylanty na wykwintnych rozpustnicach i dziury na żołnierskich tyłkach. Za chwilę naród weźmie się za łby. Czekaj na operatora.

Część III-cia.

W oswobodzonej Warszawie.

Po ulicach przechadza się wiślany Cud. Wyrwa go sobie nawzajem prawica i lewica. Bolszewicy żalują, że za wcześniej zwiali. Ochotnicy wracają do domu, gdzie zastają pozajmowane posady. Na placu Saskim odbywa się dekoracja łazików. Krakowskim Przedmieściem posuwa się olbrzymi pochód „narodowy“. Spotyka się u wylotu Nowego Świata i Aleji z „towarzyszami“. Ogólne mordobicie. Dzwony katedralne głoszą zwycięstwo solidaryzmu narodowego.

Prezes Zjednoczenia Stowarzyszeń społ. hr. Zamoyski: Teraz panowie

należy podlać film uczuciem patriotyzmu. Sztandary na front. Pierwsze szeregi klęknąć! Ekstaza! Amarant z bielą! Orkiestra różną..

Jeden z ministrów: Możeby tak umieścić na froncie kilku inwalidów z połamanymi kikutami? To dobrze robi..

Głosy: Owszem, owszem...

Mazurek. Łopocą w słońcu sztandary. Kilku inwalidów mdleje z głodu. Wrażenie potężne. Lecz nagle z bocznej ulicy wysuwa się tajemniczy, olbrzymi korowód trupów. Z krzyżem w rękę idzie w pierwszych szeregach ksiądz Skorupka. Patrz strasznymi oczodolami w narodową hecę. Potem jedno potworne spluniecie. Na ekranie jakiś okrutny, wykoszlawiony kikut kreśli: „J'accuse!“ Wizja znika. Operator prędko odcina kilkanaście kompromitujących metrów. Mazurek. Łopocą w słońcu amarant i biel. Poseł Bryl zapytuje komitet, czy nie mógłby nabyć ten film na wyłączną eksploatację? Zapłaci dobrze. Komitet urzędu licytację. Dochód na wdowy i sieroty po odrzuceniu kosztów, które są duże, bardzo duże. Mazurek. Łopocą w słońcu sztandary. Film się udał.

J. Walewski.

Altruista.

Bufet sejmowy.

— Dzisiaj rano — powiada poseł X. Adamski (znany Cygaro) — uszczęśliwiłem aż siedmiu ludzi.

— A to w jaki sposób? — pyta jego kolega klubowy Rzepecki.

— Bo dałem ślub trzem parom.

— W ten sposób ksiądz poseł uszczęśliwił tylko sześciu ludzi.

— A co pan myśli, że ja to za darmo zrobił?

Dyskretne myśli.

Gdy prezydent Wojciechowski bawił w Spale na letnich wywczasach, wybrał się też na polowanie na rogacze. Zwierzyny pod strzał podchodziło dużo, ale prezydent, czy to nie miał szczęścia, czy też że jest kiepskim Nimrodem, pudłował raz za razem. Aż odzywa się do towarzyszącego mu leśniczego:

— Ciekaw jestem, co taka bestja sobie myśli, gdy ucieka a tu moja kula świśnie mu koło ucha?

— Panie prezydencie — mówi zakłopotany leśniczy — tego nie mogę powtórzyć.



ANTKOLOGJA

poetów z pod znaku „Varszander”.

Sruljan Niewim.

Bioło ja.

Baby wiosną biodrzeją,
Zaś jesienią pęcznieją —
Kędy spojrzeć: wymiona,
Biodra, pępki i łona!

W onej krytycznej chwili
Byk się z krową skobyli —
W białokleistej cieczy
Płec się z płcią przepłeci...

Czekając na swego osła,
Ziemia ogon podniosła,
By rozkraczywszy nogi,
Zadość czynić biologii...

Ośłopiewnie.

A gdzie jest wyrko i pierzyna,
Tam często-gęsto tarמושina...

Rozjęki — lęki — i wywzdochy —
Szepciny chłopca i dziewczochy.

A do miesiący — do dziewięcy —
Kołyaska lula — lulajęcy...

Pędzimierz Wietrzyński.

Wiosna i wino.

Wyleciałem na ulicę
Jak z procy puszczoney —
Nos przechodnia w palce chyć —
Pannie zajrzeć pod... kapelusz —
Bom roznamiętniony!

Na rogu Akademickiej
Z tyłu się poskrobie —
Żydkom zrucić cztery mycki —
Czołem wyrznię w jakieś... biusty —
No i... psipsi zrobię!

Chociaż mózdek mój maluśki
Cirka wróbla mową —
Nie żałuj mi, dziewczę bużki,
Bo ja jestem przemiluśki
Warjat z mokrą głową!

Feniks Pisiecki.

Pieśń przedwiosenna.

Smutek może się gnieździć
[i w pękniętym bucie,
Przez który kpi ze słońca niemyty
[paznokieć —

Dziurawe portki mieszczą
[gigantyczne chucie,
Piramidę ambicji zaś ciekawy łokieć.

Wówczas to duma twoja królewska
[i harda

Poprzez ramię niech splunie
[w spodni wentylator:

Nie shańbi cię strzępionej bielizny
[musztarda,

Ni w świat zezem patrzący
[dyskretny lokator!

Anda Selcer-Dudkowska.

Badyl.

Chodź i posłuchaj,
bo mam ci coś do powiedzenia...
Niebardzo wiem, co to jest.
A śniło mi się to dziś w nocy —
Było to coś długiego, miękkiego,
Coś, co z ochotą wzięłam w dłonie —
Coś na kształt kłacza
Dziwnie, ach dziwnie lubego
[w dotknięciu...

Gdym wzięła w rękę — było to
[tak miękkie,
ale po chwili w zdumionych mych
[palcach

tężeć poczęło!
I z kłacza małego wyrósł wielki
[korzeń,
jak pod zaklęciem fakira...

Lecz tu sen prysnął! Powiedz-co
[to było?
Ach! gdybyż jeszcze raz to się
[przyśniło...

Z Kłusaków-Prawiezbikowska.

Melodja.

Ani daleko,
ani blisko
tylko
stoi pod kołyską
biały jak mleko,
a w niego
łzy me cieką!

I tak co wieczór i co rano
melodją płacze rozśpiewaną...

Na niebieskiej łące...

Tam na niebieskiej łące
Zające fikające
Skubią ziółka pachnące.

I ja wpośród tej łączki
Chciałabym jak zajaczki,
Wziąć także coś do rączki.

Włodław Uta-szkiewicz.

Powieść poetycka „Porubja”.

Scena I. Panna Porubja z głębokiem
spojrzeniem w jasnopłowych wło-
sach podpira łokciem szybę ka-
wiarnianą.

Scena II. Kamerdyner Józef w ustronnej
izdebce przychodzi do wniosku, że
automatność jest tańsza, niż alimenty.

Scena III. Przypadkowo się kąpiąc,
Włodław womituje moralnie na
swą obrzydliwą żółtą skórę.

Scena IV. Gabinet księcia Porubja —
dywan skopany — wszystko poszło
aż nazbyt gwałtownie.

Scena V. Izdebka Porubji — książę
wkracza — po chwili piekielny cwał
na oblanym pianą bachmacie Phal-
losie.

Scena VI. Nóż w bżuchu — finita la
termedia — Porubja daje drapaka
przez okno.

Scena VII. (Morał końcowy bez chóru)
Dwa są lekarstwa na miłość: gu-
taperka i gamy pięciopalcowe.
Pozbierał do kupy *M. de Touche*.

WARSZAWA...

Z Warszawy telegrafuję do żony
w Bydgoszczy, aby natychmiast przy-
słała mi pewne papiery. Ponieważ
sprawa nagliła, nadałem depeszę jako
pilną za potrójną opłatą.

To było rano. Popołudniu okazało
się, że papiery mi niepotrzebne. Te-
legrafuję zatem do żony, aby doku-
mentów nie wysyłała. Ale to nada-
łem już jako zwykłą depeszę.

Wracam do domu i dowiaduję się,
że ten zwykły telegram, nadany po-
południu, przyszedł tego samego dnia
w nocy. A telegram pilny, nadany
rano, doręczono żonie dopiero na
drugi dzień.

Na taką pocztę i telegraf porwała
mnie szewska pasja. To też wsadzi-
łem obie depesze do koperty i opi-
sawszy zgryźliwie rzecz posłałem jako
rodzaj skargi i zażalenia do minister-
stwa pocztowego.

Po miesiącu otrzymuję następującą
odповідź:

Na pismo Pańskie z dnia 3. marca
b. r. mamy zaszczyt donieść WPanu,
że nadany przez Niego telegram
nr. 69.107 jako pilny doręczony zo-
stał adresatce w przepisany czas.
Natomiast zwykły telegram nr. 70.288
nadszedł do Bydgoszczy i doręczony
został w terminie wcześniejszym niż
to regulamin służbowy przewiduje,

która to okoliczność spowodowała
pozorną niestosunkowość w doręcze-
niu obu przez W Pana tego samego
dnia nadanych telegramów.

Tyle ministerstwo.

Odpis tego pisma posłałem Barnu-
mowi z zapytaniem, czy do swego ga-
binetu kurjów niechce nabyć i ory-
ginału powyższej rezolucji.

Pod kościołem.

— Tak, Franciszkowa, jeżeli chce-
cie wydać córkę za mego syna, to
musicie jej dać wielgi posag. Mój
syn jest na oba oczy ślepy i ma przy-
tem taniec św. Wita...

Wysoka Izbo!



Posel Smulikowski: Zważcie panowie, że obliczenia wzrostu drożyzny za sierpień przez Główną Komisję Statystyczną na 51·42 proc. nie stoją w żadnym stosunku do 73·57 procent wypadków śmierci głodowej wśród funkcjonariuszy państwowych...